

Jan Hartman

Śmierć Hegła, śmierć filozofii

Im dłużej zajmuję się filozofią (i metafizyką, czyli samowiedzą filozofii), tym bardziej ogarnia mnie wyzwająca świadomość klęski moralnej, intelektualnej i politycznej projektu ogłoszonego świata pod nazwą „filozofia” przez Pitagorasa i Platona. Narcyzm i pycha filozofa ostatecznie zwyciężyły dobre chęci, a szminka ironii i krytycyzmu zdobi jego oblicze niczym barwiczka na zmęczonym, starczym obliczu kłowna, żyjącego resztkami złudzeń, że jeszcze kogoś śmieszy. Dlaczego świadomość klęski jest wyzwająca? Bo rodzi się w niej nadzieja, że wkrótce będzie można przemyśleć to i owo całkiem na serio, nie popadając w narcystyczny solipsyzm „mówienia o filozofii”.

Wszystko, co istotne, można osłabić i zdeformować przedstawiając to jako „filozoficzne”, jako „problem filozoficzny”, a najlepiej jako „wieczną aporię”. Osłabienie jest zawsze jakimś rozwiązaniem, tak samo jak puszczanie krwi. Hegel jednak miał jeszcze prawo do swych złudzeń. Żył w czasach, gdy wciąż mogło się wydawać, że najlepsze, co ma ludzkość, to państwo, religia i filozofia właśnie. Jednak po dwustu latach reputacja i skuteczność wszystkich tych trzech form władzy – politycznej, moralnej i intelektualnej – bardzo osłabła. Z kolejne dwieście lat wszystkie trzy będą pewnie egzotycznym anachronizmem, niczym współcześnie sultani, szamani i „klasycy filozofii”, którym grupka neurotycznych profesorów uparcie nie pozwala spokojnie leżeć w grobach. Tymczasem jednak trzeba się jeszcze pomęczyć. Upłynie przecież wiele lat, zanim osoby kompetentne i powołane do profesjonalnego pomnażania wiedzy nauczą się samodzielnie posługiwać kilkoma osobliwymi, lecz wartościowymi technikami myślowymi i kilkudziesięcioma cennymi pojęciami, które wymyślili filozofowie, a które jak dotąd znane są tylko im (co setnemu z nich?). Co do samych zaś filozofów, to skoro dotychczas nie stali się zawodowcami, to nie ma już co liczyć na poprawę. Zaiste, są niepoprawni. Tylko Hegła żal.

Hegel, do którego odnoszę się nie jak znawca, tylko ktoś w rodzaju „racjonalnie spodziewanego czytelnika”, ani nie dał nam szansy włączenia jego nauki do jakiegoś szerszego korpusu wykształcenia, w którym nie byłby punktem centralnym lub końcowym, ani nie dał nam żadnych podstaw do tego, by znając już system i jego język powiedzieć moglibyśmy jeszcze cokolwiek innego, tonem suwerennie myślącego filozofa. Nie dał nam szansy: Hegla można co najwyżej zrozumieć – na więcej nie starcza już sił. Tym samym Hegel wyobcował się z historycznej wspólnoty filozofów i stanął samotnie na piedestale, otoczony historykami filozofii i specjalistami. Jest to kwestia poniekąd socjologiczna (towarzyska?), ale, rzecz jasna, musi ona zostać podjęta filozoficznie. Podstawę po temu daje zresztą sam Hegel, mianowicie w tekście „O istocie krytyki filozoficznej”, gdzie rozważa się z arystokratycznie filozoficznego punktu widzenia warunki poważnej krytyki w filozofii. W gruncie rzeczy wychodzi na to, że krytyka jest przewyciężaniem filozofii niedojrzałej albo rozsądkowej, czyli krokiem na drodze do systemu, albo odrzuceniem tego, co niefilozoficzne, a mające w swej ignorancji jakieś pretensje do sądenia. Czy jednak w warunkach „wszystko albo nic” można być lojalnym czytelnikiem Hegla, zachowującym wszelako jakąś niezależność? Czy można być „trochę heglistą”? Czy można po prostu czytać Hegla, szanować go, uczyć się od niego i iść sobie dalej, swoją drogą? Dokąd?

Młody Hegel rozpoczyna wspomniany esej od platońskiej iście deklaraty: „Krytyka, w jakimkolwiek obszarze sztuki czy nauki byłaby stosowana, wymaga miernika niezależnego zarówno od sądzącego, jak i od tego, co osądzone [...] lecz od wiecznego i niezmiennego prawzorca rzeczy samej”¹. Dla wtajemniczonych czytelników Hegla nie ulega kwestii, że „rzeczy samej” trzyma się właśnie Hegłowska spekulacja. To w jego umyśle duch absolutny pojednał się z historyczną i osobową subiektywnością filozofującego człowieka i nareszcie mógł przemówić wprost, w tym osobliwym obszarze szczególności, którym stanowi twórczość teoretyczna, wyrażona w książce. Inaczej mówiąc, dzieło Hegla, choć zapośredniczone w historycznej całości sensu i doświadczenia społecznego, zapośredniczone jest doskonale również w sobie

¹ G.W.F. Hegel, „O istocie krytyki filozoficznej w ogóle i jej stosunku do obecnego stanu filozofii w szczególności”, przeł. B. Markiewicz, *Studia filozoficzne* 12 (193), 1981, s. 31.

samym. Odzwierciedla siebie w refleksji i samowiedzy, zwielokrotnionej tak bardzo i sięgającej tak głęboko, jak tylko nasze siły intelektualne pozwolą to dostrzec. Każde słowo, każde określenie heglowskie niczym lustro odbija i wchłania w siebie wszystkie inne, a wraz z nimi całą rzeczywistość. Monadyczność, czy, jakbyśmy dziś powiedzieli, hipertekstualność dzieła Hegla, jest jakimś dokonaniem absolutnym, poza którym i ponad które niczego rozsądnie nie powinniśmy się już spodziewać. Nawet jeśli coś dałoby się poprawić, to jest to już bez znaczenia. Obdarowano nas bogactwem i perfekcją, która i tak nas przerasta i która powinna nam starczyć za całą filozofię. Pozostaje nam rola kapłanów heglowskiej świątyni ducha albo... błoga ignorancja i śmieszne dłubanie w pojęciach, niepotrzebne już, niewczesne, lecz na naszą miarę skrojone.

Choć geniusz Hegla zamyka nam usta i nas onieśmiela, to jednak miłość własna nie pozwala nam oddać się mu w całkowitą niewolę. Byłoby to zresztą zaprzeczenie postawy filozoficznej. Usłużna sofistyka hermeneutyczna podpowiada nam wprawdzie, że nowe czasy przynoszą nowe wyzwania: filozoficzną prawdę trzeba rekonstruować i wypowiadać wciąż od nowa, w stosownym dla tych nowych czasów języku. Tylko że to nieprawda. Nie widać powodu, by tłumaczyć Hegla „z niemieckiego na nasze”, a jeśli się to robi, to po prostu dlatego, że prawdziwy Hegel jest dla większości czytelników po prostu zbyt trudny.

Chciałbym uniknąć sprawiania wrażenia, że jestem wyznawcą heglowskiego kultu. Wierzę wprawdzie, że nic doskonalszego i bardziej uniwersalnego w filozofii ani przed Heglem, ani po Heglu się nie pojawiło (i nie ma takiej potrzeby, bo i tego, co mamy, nie umiemy solidnie wykorzystać dla swego zbudowania), ale pozostają wobec tego faktu w pewien sposób obojętny. Tak samo, jak jesteśmy, a przynajmniej staramy się być obojętni wobec faktu, że ktoś ma piękniejszą i lepszą żonę. Sam Hegel daje poniekąd przyzwolenie na taką postawę obstawania przy swoim lub zadowolenia z tego, co się ma. W swej *psychologii*, jak możemy się przekonać z *Encyklopedii nauk filozoficznych* (par. 453-458, w wydaniu z 1830 r.), w osobliwy, właściwie dość nietypowy dla siebie sposób afirmuje osobiste, wręcz egoistyczne źródło teoretyczności, którym jest oparta na wyobraźni i „fantazji znakotwórczej” inteligencja człowieka. Z „nieświadomego szybu inteligencji”, dzięki pracy wyobraźni i fonetycznej ekspresji rodzi się jednostkowa osobowość. Kto artykułuje słowo, zamykając wyobrażenie w dźwiękowej „pirami-

dzie znaku”, ten tworzy samego siebie i daje początek społeczności porozumiewających się inteligencji. Nie jest to może jakaś brawurowo nowatorska ontologia języka, ale – w kontekście całokształtu systemu – bardzo znaczące podkreślenie osobowego zakorzenienia wszelkiej artykulacji, a tym samym wszelkich dokonań teoretyka. Trybunałem prawdy, choćby najdosłowniejszej, w końcu okazuje się duch przeciskający się przez wąskie gardło (a raczej wąski szyb) prywatnej, jednostkowej osobowości, wydającej z siebie głos.

Hegla trzeba by więc „czytać normalnie” – skoro wszystko w filozofii wychodzi i powraca do jednostkowej wyobraźni i inteligencji. A jednak trudno zmusić się do owej krytyczno-życzliwej postawy uwagi, którą przyjmuję, obcując z tekstem krążącym *inter pares*, napisanym przez równą mi osobę jako komunikat jej pracy intelektualnej. Wszak system Hegla jest kwintesencją, wzorcem a jednocześnie kresem teoretyczności jako takiej – obcując z nim, obcuję wprost z ogólnością, zanurzam się w Pojęcie. Z pewnością, specjaliści znający się na Heglu i czczący go z pełną świadomością wyjątkowej pozycji jego dzieła jako ucieleśnienia ducha filozoficzności, są jak najdalsi od naturalności żywej inteligencji i „bezkompleksowości” w swym obcowaniu z Heglem, teksty zaś poświęcone Heglowi, gdy wolne są od wynikających ze słusznej czci skrupułów, okazują się z reguły po prostu niemądre i aroganckie. Z drugiej strony, ignorancja bywa lepsza i świeższa od uczzonej „interpretacji” i egzegezy. Komu bowiem chodzi o prawdę o Heglu, temu bardziej zależy na „prawdzie Hegla” niż na prawdzie. Nasza hermeneutyczna umysłowość zda się cokolwiek zakłamana, a przynajmniej do zakłamania skłonna. Ani jest skromna, ani szczerza. Ale to już inna historia.

Lecz Hegel pisał swe dzieła nie tylko dla przyszłych znawców Hegla. Pisał do filozofów po prostu. Dlatego ocena jego dokonań musi brać pod uwagę recepcję niekompetentną, rezultat, jaki jego dzieła przyniosły kondycji intelektualnej filozofa postronnego. Z pewnością nie byłoby po heglowsku ani nie byłoby mądrze dzielić świata na znawców Hegla i ignorantów. Ale czy wykształciliśmy jakieś środki, by porozumiewać się z innymi na temat Hegla inaczej niż w drodze wymiany sądów eksperckich i towarzyszących im cytatów, bądź po prostu wygłaszając wykład dla postronnych? Jeśli nie, to Hegel poniósł klęskę.

Powołując się na Hegłowską aprecjację indywidualnej inteligencji, a także na społeczne uprawnienia członka wspólnoty ludzi pióra, py-

tam: co mam zrobić z faktem, że przeczytałem kilkaset stron dzieł Hegla, co mam zrobić z tym wszystkim, czego się od Hegla nauczyłem?

Cokolwiek usłyszę w odpowiedzi, musi być jakąś propozycją uzasadnienia zdrady, a co najmniej porzucenia Hegla. Muszę przecież znaleźć usprawiedliwienie dla faktu, że oprócz czytania Hegla robię jeszcze cokolwiek, że oprócz Hegla czytam jeszcze innych autorów. W jakim sensie jednak przysługuje mi prawo do niezostawiania heglistów ani specjalistą od Hegla? Należy sądzić, że każdym przypadku racjonalny powód do oderwania się od lektury dzieł Hegla musi być pewną formą krytyki, a co najmniej następstwem stwierdzenia jakiejś niewystarczalności Dzieła.

„Filozofia jest tylko jedna i jedna być może”², bo jeden jest rozum. „Sprawą krytyki jest wyraźnie określić sposób i stopień, w jakim swobodnie i jawnie występuje [idea filozofii], oraz zakres, w jakim została przetworzona w naukowy system filozofii”³. Jeśli można zaakceptować cokolwiek poza systematyczną budową nauki filozoficznej, to będzie to filozofująca literatura jako wyraz „pięknej duszy”. Zdecydowanie zaś nie ma miejsca pod słońcem dla schematycznego, upraszczającego i abstrakcyjnego myślenia, które chciałoby podciągnąć popularyzowany rozsądek pod godność filozofii (jak wiemy, Hegel miał obsesję na tym punkcie⁴). Wprawdzie filozofia może być tylko jedna i poważna krytyka musi to uznać i zakładać, to jednak jest w uprawianiu filozofii jakieś miejsce dla indywidualności, której wszelako nie wolno mylić z subiektywnością i związaną z nią ograniczonością. Jednakże nawet w niedojrzalej filozofii, jeśli tylko jest poważna w swych zamiarach, należy tropić „przebłyśki ducha”; gorzej, gdy pragnienie wyrażenia własnej osobowości przeważa nad rzeczywistą wolą prawdy. Lenistwo i próżność szukają sobie wykrętów, by zamiast systematycznej budowy nauki filozoficznej formułować jedynie przypadkowe określenia czy „poglądy”, w których znajduje się upodobanie. Wtedy nie ma litości – taka postawa zasługuje na otwartą pogardę.

W Niemczech, narzeka Hegel, każdy chce mieć swój własny system, na miarę własnej indywidualności. Żaloszna jest taka subiektyw-

² Ibidem.

³ Ibid., s. 32-33.

⁴ „Ponieważ nie ma nic równie obrzydliwego jak ta przemiana powagi filozofii w banał, tedy krytyka musi posłużyć się wszystkimi środkami, aby uchronić się przed tym nieszczęściem”; *ibid.*, s. 34.

na oryginalność miernot; równa jest bowiem partykularności pewnego „punktu widzenia”. Oryginalność właściwa jest bowiem przywilejem geniuszu. Można zresztą łatwo pod geniusz się podszyć, ogłaszając jakąś swoją ulubioną zasadę jedyną i absolutną. Jeszcze bardziej przewrotnym sposobem na udawanie prawdziwej filozofii jest dawanie rzekomo filozoficznego uzasadnienia odrzuceniu filozofii przez nie-filozofię, do której zalicza się jednocześnie nauki doświadczalne (mamy tu jedną z tych pięknych tyrad Hegla przeciwko Kantowi). Filozofia nazywające samą siebie krytyczną jest, jak wynika ze słów Hegla, parodią krytyki, afirmacją skończoności pod pretekstem rzekomej nie-ykonalności zadania filozofii jako zadania teoretycznego.

I dalej też nic, tylko krytyka. Niepokojąca, bo właściwie nie oszczędzająca nikogo przed Heglem. Nie odmówię sobie wszakże zacytowania cierpkiej, a jakże aktualnej uwagi na temat spopolitowania filozofii w warunkach powszechnego oświecenia i demokracji:

w naszych czasach wolności i równości, gdy wykształciła się tak duża publiczność, która nie chce słyszeć, że coś mogłoby być dla niej niedostępne, lecz uważa się za dość dobrą do wszystkiego lub uważa wszystko za dość dobre dla siebie, to, co najpiękniejsze i najlepsze, nie mogło uniknąć tego losu, że pospolitość niezdolna wznieść się do tego, co widzi nad sobą, tak długo to przetrawia, aż stanie się na tyle pospolite, że może to sobie przywłaszczyć, a banalizowanie zdobyło sobie pozycję uznaną i pożyteczną pracy⁵.

Choć filozofia uczestniczy często w chaotycznym zgiełku nowoczesności, to przecież ma swój udział również w przewycięzaniu drażącego kulturę „północnego zachodu” dualizmu. Walka rozumu z rozsądkiem toczy się na obszarze samych dziejów filozofii, jakkolwiek pospolity rozsądek jest z natury czymś wrogim i wstrętnym dla filozoficznego ducha. Złośliwość i sarkazm Hegla pod koniec eseju osiągają swe apogeum. Wreszcie, w ostatnich słowach, górę bierze gorycz: zwykle krytyka w filozofii przybiera postać polemiki, a ta jako zaangażowanie rozumu przypadkowe, wzajemnie od siebie uzależniające obie strony sporu, jest „niczym dla prawdziwej filozofii”.

Ostatecznie wychodzi więc na to, że krytyka filozoficzna to krytyka tego, co w filozofii jest pozorem filozofii oraz tego, co jeszcze nie jest w niej pełną samowiedzą, wyrażoną w systemie. Należałoby ją bodaj załatwić na marginesie wykładów z dziejów filozofii, odpowiednio in-

⁵ Ibid., s. 37.

tenzyfikując w rozdziałach poświęconych bezpośrednim poprzednikom i kolegom Hegla. Jako że nie ma potrzeby dwa razy powtarzać, na tym dzieło krytyczne filozofii mogłoby się zakończyć. Prowadzenie polemik jest dla prawdziwej filozofii poniżające, systemu rozumu zaś z natury rzeczy krytyka nie dotyczy – ma on dość własnej samowiedzy, która przecież jest jego wewnętrzną istotą. Poza jednorazowym aktem samooczyszczenia i radykalnego oddzielenia filozofii od nie-filozofii, na krytykę nie ma już właściwie miejsca.

Cóż, zabierając się do lektury pisma Hegla, liczyłem na więcej. Sądziłem, że dowiem się, jak być „filozofem maluczkim”, nie przestając być duchem wolnym. Zamiast tego Hegel powiada mi, że indywidualność, owszem, wchodzi w grę, ale pod warunkiem geniuszu. Na czym polega owo indywidualne piętno, jakie geniusz ma prawo wycisnąć w materii Pojęcia, to jednak pozostaje zagadką. Demokratyzm Hegla również staje pod znakiem zapytania. Psychologiczną partykularność (osobowość) z ogólnością prawdy pogodzić może tylko filozof genialny, w którym (właśnie dlatego) wypełniają się dzieje filozofii. A może chodzi tu tylko o styl, o jakiś sztafaż i osobliwość języka, albo barwną biografię w tle filozoficznego dzieła? Nie, bo nie są to względy filozoficzne. „Uniwersalnie ważna partykularność w filozofowaniu”, jak trzeba by to nazwać w duchu Hegla, nie jest, o ile mi wiadomo, zagadnieniem rozwiązującym przez sławego teoretyka „szczegółowości”.

Na pytanie, co ma do roboty ludzkość i duch dziejów po utrwaleniu stosunków nowoczesnych, odpowiedź brzmi: rozkoszować się sobą i spokojnie trwać w swym bogactwie (plus walka z zagrożeniami ze strony sił reakcji, ma się rozumieć). Hegel nie dał mi jednak odpowiedzi na pytanie, jak mam być filozofem nie popadając w spokojne rozkoszowanie się Heglem, czyli wieczyste uprawnianie heglologii. Wygląda bowiem na to, że warunkiem uzyskania zwolnienia od takiego niewolniczego losu jest geniusz.

Heglowi, który wypowiada się w imię czystego ideału filozofii, w imieniu Systemu, totalności Idei, absolutnej wiedzy i samowiedzy, będącej ostatecznym urzeczywistnieniem Rozumu, trzeba by powiedzieć prosto w oczy kilka smutnych dla niego prawd. Od młodości wyobrażam sobie, że Hegel wstał z grobu, a moim zadaniem jest oprowadzić go po współczesnym świecie i wyjaśnić, dlaczego heglizm jest tylko momentem dziejów, wartko dalej płynących, i jak to się stało, że jest dziś anachronizmem i zabytkiem, pomimo, że nie było już po nim ni-

kogo, kto dorównałby mu pełnią spekulatywnej logiki dzieła i zakresem wykonanej myślowej pracy. Musiałbym użyć wzniosłych i ściśle filozoficznych słów, aby to przekonująco wyjaśnić Heglowi. Jako że jednak mesjasz filozofów nie zmartwychwstaje, i w końcu zostaliśmy tu całkiem sami, my, którzy nie stawiamy sobie nazbyt wysokich wymagań w zakresie spekulatywnej ścisłości i starannego odróżniania myślenia od pospolitego rozsądku, za karę powiem, w gminnych słowach, za plecami Mistrza, jaki był naprawdę i dlaczego jego wiek przeminął. Powiem to, co kamerdyner, z Heglowskiej przypowieści, traktujący z lekceważeniem Napoleona, któremu wszakże zdejmuje buty, a przeto wie o nim to, czego nie wiedzą inni. Może ze mnie i kamerdyner, ale przecież nie o skarpetkach będę prawil, lecz o bitwie, którą stoczył Napoleon filozofii.

Bitwa Hegla miała na celu ostateczne urzeczywistnienie filozofii, a przez filozofię ostateczne wyrażenie samowiedzy Ducha, tak by w chwale tej samowiedzy na zawsze mógł już trwać jako duch wolności. I owszem. Nie da się zaprzeczyć, że System jest doskonałą Nauką Logiki, obejmującą całość możliwych określeń w apodyktycznym, spekulatywnym porządku ich wyłaniania się z siebie, w pracy negacji i zapośredniczenia. Co miało być wykonane, wykonane zostało. Filozofia osiągnęła swe przeznaczenie, u kresu dziejów emancypacji. Niestety, okazało się, że królestwo wolności jest królestwem rozsądku! System okazał się jedynie artefaktem, nie zaś spełnieniem i epoką dla siebie. Okazał się dokonaniem partykularnym i historycznym w całej dwuznaczności tego określenia – jako historyczny przygodny fakt (który mógł się nie zdarzyć) i jako wielkie dokonanie, które trwa, lecz i umiera w swych następstwach. Cóż za skandal! Okazało się, że Hegel miał owe tak pogardzane przez siebie *poglądy*! Tysiące tez Systemu całkiem dobrze nadaje się do dyskusji, a setki z nich brzmi dość mało wiarygodnie albo wręcz niewiarygodnie anachronicznie. Ma Hegel, jak każdy, poglądy polityczne i wszelkie inne. Ba, co gorsza, pod płaszczykiem spekulatywnej wieszczby kryją się często najzwyklejsze analizy, łatwo przetłumaczalne na język rozsądku, a nawet – o zgrozo! – zwykłe argumenty, na które nie brak kontrargumentów.

Cóż widzi nieuprzedzony profan, uczący się dopiero czytać Dzieło? Oto pokazuje mu się nie kończąca się seria „określeń” – pojęć, sformułowań, tez – których samodzielnego formułowania w doskonale pojętym języku uczy nas przykład dany przez Mistrza. Podobnie jak

nie ma dyskusji z językiem obcym, którego się uczymy, nie ma też dyskusji ze spekulacją Hegłowską, której też dopiero uczymy się, jak cudownego, precyzyjnego, lecz jednocześnie niebawale elastycznego i obrazowego idiomu. Śledzenie konieczności Pojęcia jest czynnością dającą się wykonać wyłącznie w pokornej postawie ucznia, gdyż to, co mamy poznać, nie jest żadnym rozważaniem w znanym nam języku, lecz nauką samego języka. Kto chciałby zaś brać słowa w uboższych znaczeniach, znanych mu dotąd, spotka się natychmiast z reprimendą, iż stacza się w skończone schematy rozsądku, w prostacką, praktyczną abstrakcję i niegodny partykularyzm. I tak to, zaczarowani, śledzimy, coraz sprawniej, Hegłowski tekst, całkowicie zaspokojeni i dumni z faktu, że w ogóle go rozumiemy, a jednocześnie całkowicie ubezwłasnowolnieni i intelektualnie zaszantażowani – najłżejszy bowiem sprzeciw czy wątpliwość oznaczać bowiem będzie, że rezonujemy skrzeczącym głosem rozsądku, że tkwimy w anachronizmie lub zacinamy się w jakimś dialektycznym okresie, niezdolni uczynić kroku ku znoszącej skończone określenia syntezie. Hegel prowadzi nas krętymi drogami zapośredniczeń, dzierżąc latarnię Rozumu, wywołującą z mroków pozorów i anachronizmów Prawdę tego, co Rzeczywiste.

Idąc za Heglem jesteśmy upominani co i rusz, namolnie, obsesyjnie, w dwóch sprawach. Oto właśnie pamiętać mamy wciąż o nieusuwalnej różnicy pomiędzy „abstrakcyjnymi” określeniami rozsądku, odwołującymi się do wyobraźni i niskiej praktyczności oraz określeniami czysto filozoficznymi, spekulatywnymi, wyrażającymi żywą treść Pojęcia i samowiedzę Rozumu. Drugie napomnienie dotyczy tego, że pracę myślenia trzeba wykonać osobiście i w pełni, gdyż prawda nie występuje jako rezultat, z którym można by się zapoznać bez konieczności jego samodzielnego osiągnięcia. Nie ma więc żadnego „uczenia się filozofii”, a jedynie znój myślenia, pełnia powtórnego dokonania rozumu, który jeszcze raz wysnuje sam z siebie, w koniecznym porządku, wszystkie kolejne momenty totalnej Prawdy. No, w takich okolicznościach, któż śmiałyby się sprzeciwić, choćby słowem. Zaiste, od czasów Marksa i Kierkegaarda na kontynencie nie widziano już chyba *polemisty*, który nie zrażając się groźbą ekskomuniki z kościoła czystej filozofii, bezpośrednio *odnosi się* do takiego czy innego momentu Systemu jak do pewnego poglądu, który niekoniecznie musi być trafny. Zresztą sam Mistrz zapewnia nam dość rozrywki tego rodzaju. Sam przecie nader chętnie wdaje się w publicystyczne spory, a nawet poka-

zuje dziennikarski pazur w rozmaitych glossach i autokomentarzach. Patos spekulacji łączy się w tekstach Hegla z przemawiającą do wyobraźni metaforą, a ta prowadzi nas do obrazowych przypowieści, a nawet publicystycznych tyrad lub drwinek. I we wszystkich tych odsłonach, teatr Hegłowski jest, rzecz jasna, zupełnie doskonały. Inteligencja, trafność użytych wyrażań, dobór przykładów i porównań – wszystko to oczarowuje i zniewala, co najmniej tak silnie, jak owo narcystyczne zadowolenie z siebie, które towarzyszy zabawie w śledzenie czystej konieczności spekulatywnej refleksji. Satysfakcja tym większa, że dla czytelnika jest aż nazbyt oczywiste, iż wszelkie znane mu analizy filozoficzne są ledwie częstkową, jednostronną, na wpół ślepą dłubaniną, w porównaniu z wszechogarniającym spojrzeniem ze stanowiska autentycznie spekulatywnego.

Rzecz w tym i całe w tym nieszczęście, że to ostatnie nie jest tylko wrażeniem, lecz faktem! To oczywiste, że w *Nauce logiki* nie brak żadnej prawdy, której dostąpił Arystoteles, a jednocześnie nie ma żadnej potrzeby, by utrzymać nadal cokolwiek z Arystotelesowskiego języka, który jednostronnie i ułomnie tę prawdę wyrażał. I tak ze wszystkim – siłą Hegłowskiej refleksji i potęgą nauczycielskiej *rekapitulacji*, jaką jego dzieło egzekwuje na historycznym dorobku filozofów, sprawiają, że wszyscy stajemy się, łącznie z Arystotelesem, uczniakami w szkole, w której jest tylko jeden nauczyciel. I nie powiemy, że Hegel jest w tej roli uzurpatorem, że jest apodyktyczny i nie dopuszcza nikogo innego do głosu. Nie powiemy, bo z lektury dzieł Hegla całkiem jasno wynika, że właśnie tak się sprawy mają – dostajemy tu filozofię *zrobioną*, czyli ostatecznie wykonaną przez Hegla, a przeto cała reszta pokazuje się jako nieistotne już, historyczne wyłącznie (jakkolwiek „historycznie znaczące”) usiłowania i próby.

Lecz właśnie ta jedność Hegla i zupełna jego niepowtarzalność, zupełna niekomunikatywność, jeśli komunikowanie się *po Heglu* miałyby być czymś więcej niż naśladownictwem albo raczej karykaturą idiomu Mistrza, oznacza realną, historycznie wykazaną i dokonaną *klęskę filozofii*. Oto filozofia *jest*, mądrość i Prawda *jest* i... nic z tego nie wynika. Nie tylko nic z tym nie możemy dalej zrobić, ale nawet nie potrafimy cieszyć się tym, co dostaliśmy w spadku. Nie możemy tego czytać, zapamiętywać, uczyć się tego wszystkiego. Nie możemy z wielu powodów. Jeden z nich jest taki, że byłoby to za trudne. Drugi, że nazbyt ubezwłasnowolniające. Trzeci, że Hegel był jednostką, a nie

kolektywem, wobec czego tak czy inaczej jego dzieło, choćby nie wiedzieć jak uczone, zawsze będzie tylko osobistym dokonaniem literackim jednego autora, nie zaś dokonaniem naukowym, czyli wiedzą. Czwarty powód jest taki, że System do niczego nie jest nam potrzebny (cóż to by było, gdyby światem rządili wytrwali i kompetentni czytelnicy Hegla!). No i wreszcie piąty powód jest najbardziej trywialny: gdyby Hegla i całą filozofię potraktować ze śmiertelną powagą, to wszystko, co jest „poniżej Hegla”, czyli w zasadzie wszystko, co piszemy i czytamy, musiałoby pójść do kosza. Nie możemy więc potraktować Hegla całkiem na serio, i to pomimo głębokiego przekonania (a ja takie żywię), że nie posiadamy doskonalszego języka filozofii. Owszem, lepiej zapewne nauczyć się „mówić Heglem” niż „mówić Heideggerem” czy jakimkolwiek innym idiomem. Tyle że będzie to tylko pewnego rodzaju elegancka może, ale jednak zabawa.

Powiedziałbym Heglowi tak: wolność zwyciężyła w świecie, ale zwyciężył także rozsądek. To przed nim musi się wylegitymować każda nowość – czy to w nauce, czy to w polityce. To rozsądek jest prawdą, gdy Prawda już się wypełniła. To kamerdyner mówi dziś rzeczy *ważne*, bo głosy ludzi uczonych już wybrzmiały, a ich prawdy przyjęłyśmy do wiadomości. Tak, Pańskiemu systemowi, też udzieliliśmy skwitowania. Ma Pan swój rozdział w podręczniku historii filozofii, lecz potem następują rozdziały wypełnione opowieściami o filozofach często jeszcze głupszych od tych strasznych *philosophes* XVIII wieku, szerokim łukiem omijających rozlewisko heglizmu i piszących tak, jak gdyby żadnego Hegla nie było albo nic z niego nie pojęli. Ba, byli i tacy, którzy pragnęli totalnej Nauki, przygotowanej przez uniwersalną Fenomenologię, nie zdawszy sobie trudu przejrzzenia choćby *Fenomenologii ducha*. Tak to już jest – być może Pańska filozofia jest szczytowym osiągnięciem w dziejach myślenia; tylko po co mam się męczyć i wchodzić na szczyt, skoro stamtąd można już tylko zejść niżej? Mamże tam siedzieć sam i marznąć w zupełnym zapomnieniu, podczas gdy inni zbierać będą poklask za swój rozsądek lub za tę cudowną literacką egzaltację, którą tak bardzo kocha młodzież? To już lepiej być rozsądnym i uwodzicielskim, tym bardziej, że inteligentny „rozum skończony” całkiem sporo zdolny jest pomyśleć, mimo wszystko.

Hegel pokazał, że filozofia była projektem moralnie fałszywym. Dopełniając filozofię, nie uczynił jej dobrem ludzkości, a nawet nie uwolnił od idiosynkrazji, uprzedzeń i innych „poglądów”. Filozofia żyła

z megalomanii i megalomania ją ostatecznie uśmierciła. Udławiła się swoją samowiedzą. Powiedziawszy „ostatnie słowo”, wyzionęła Ducha, boć jest tylko zarozumiałym bądź ironicznym gadulstwem. Pośmiertny los Hegla pokazał, że świadomość filozoficzna jest postacią świadomości fałszywej, postacią intelektualnego wyobcowania, ucieczki w manię wielkości, kompleksy i uprzedzenia. Hegel zabił filozofię, a jego następcy, wielcy filozofowie XX wieku, jak Heidegger czy Derrida, wypisują już tylko rozwlekłe, barokowe świadectwa zgonu. Co i ja czynię, tylko mniej owijam w bawełnę.

Jan Hartman, Kraków, 5769 rok od stworzenia świata